Rok II. Nr. 193.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza drobnego (petit) po 8 centów, za każde następne „ 5 „ i należytość stęplową 30 „ za każdorazowe umieszczenie.

AFISZ TEATRALNY.

Rok 1873.

Wychodzi w Krakowie 4 razy w tygodniu w dniu przedstawienia teatralnego. Cena prenumeraty miesięcznie 50 c. Numer pojedynczy kosztuje 5 c. Prenumeratę przyjmują: Administracya *Czasu*, przy ulicy Mikołajskiej Nr. 444 i Kasa Teatralna.

Kraków 19 sierpnia.

We Czwartek wystąpi po raz pierwszy znakomita primadonna opery warszawskiej pani Dowiakowska. Odśpiewa wyjątki z „*Halki*“, waryacye Procha i walc Arditego „*l'Estasi*“. Samo nazwisko pani Dowiakowskiej powinno aż nadto wystarczyć do licznego zapełnienia sali teatralnej.

ROZMAITOŚCI.

—W dziennikach Galicyjskich było ogłoszenie następującej treści:

Pani! Jesteś aniołem, pragnę cię posiadać na wieczność, daj mi słów parę, twą anielską skreślonych ręką, nosić je będę na sercu mojem, dokąd cię nie zobaczę, dokąd nie zostanę twoim. *Zygmunt.*

Między innemi p. Zygmunt otrzymał taką piśmienną odpowiedź:

Panie! Jeżeli Pan Buk tag jusz przeznaczył, zebym w osobie uściwej kawalera znalazła Męża, to dla tego żebym się raz od tego gospodarstwa i kruf a osobliwie od mojego stryja nuziarza odszczepić mogła. Jestem otfartą — więc chce iść za mąsz a ofszem za uźentnika żeby w mieście być. Do tego czeba aby Pan sryjowi się zaprodukował osobięcie pocztą lub koleją żelazną najdali wi za wi w tem miesioncu, bo ciotka fotografowała do nas, żebyśmy przyjeszczali do ni. *Albertyna.*

— Do m. Kolonii z Paryża, pospiesznym pociągiem przybył w tych dniach młody ruchliwy i gadatliwy komisant handlowy.

Apetyt miał wilczy, wszedł więc do restauracyi i zasiadł do stołu. Zaledwie jednakże rozpoczął studzić bulion, zbliżył się doń tragarz i zażądał wynagrodzenia za przeniesienie z wagonu walizki.

Francuz umiał po niemiecku tylko trzy wyrazy: *Guten Morgen, Ja*, niemiec zaś nie miał w mózgownicy ani jednego słowa francuzkiego; porozumienie się zatem było niemożliwem. Zniecierpliwiony komisant począł kląć i skakać, a tragarz mruczeć coraz głośniej. Nareszcie, gdy sprzeczka poczęła zmieniać się w burdę, nadbiegł garson:

— *Was wollen sie?*

— *Zwei sielbergroschen*, odpowiedział tragarz.

Garson, po francuzku objaśnił o tem komisanta. Ten czerwony z gniewu jak piwonia, ryknął:

— Co? daliśmy już pięć miliardów, a wy żądacie jeszcze dwóch groszy? Oto są.

LORENZACCIO.

Ciąg dalszy.

JEDEN z MIESZCZAN. Musiała kolacya trwać dosyć długo. Patrz ci dwaj nie są w stanie utrzymać się na nogach (*Przy wsiadaniu prowedytora na konia spada na niego stłuczona butelka*).

PROWEDYTOR. Do szatana! Co to za zuchwalec?

MASKA. Czy nie widzisz panie Corsini, — spojrzyj tylko w okno, to Lorenzo w stroju mniszki.

PROWEDYTOR. Lorenzo! niech cię wszyscy djabli porwą, zraniłeś mi konia. (*Okno zamyka się*). Bodajeś przepadł niegodziwy pijaku wraz ze swemi dowcipami. Szczególniejszy sposób żartowania u człowieka, który nie wiem czy rośmiał się szczerze trzy razy w życiu, a dziś swywoli jak student w czasie wakacyj (*odjeżdża. Z domu wychodzi Ludwika Strozzi w towarzystwie Juliana Salviati, który podtrzymuje jej strzemię. Wsiada na koń, za nią postępuje paź i guwernantka*).

JULIAN. Co za przepyszna nóżka! Pani jesteś dla mnie tym cudnym i słonecznym promykiem, co tak przenika, że ukryć się przed nim niepodobna.

LUDWIKA. Panie! mowa podobna nie jest właściwą.

JULIAN. Jakie śliczne masz oczy, — twoje ramioma wilgotne od zmęczenia. — Ach! cóżbym dał za to, żebym mógł być na miejscu twojej służącej tej nocy. — Jakaż rozkosz rozzuwać te piękne buciki.

LUDWIKA. Proszę, puść pan moją nogę!

JULIAN. Nie, niepuszczę na Bachusa, chyba, że przyrzekniesz mi, że będę kiedy takim szczęśliwym sługą.

(*Zacina Ludwika konia i odjeżdża galopem*).

JEDNA z MASEK (*do Juliana*). Zapewnie obraziłeś małą.

STROZZI. Bo cała za rumienieniła się z oburzenia.

JULIAN. Gniew dziewcząt trwa krócej jak wiosenny poranny deszczyk (*wychodzi*).

Scena III.

(u Markiza Cibo).

Markiz w podróżném ubraniu. — Markiza, Ascanio, kardynał, Cibo siedząc:

Markiz (*ściskając syna*). Wziąłbym cię chętnie z sobą mój mały wraz z twoją wielką szpadą bijącą cię po nogach, lecz uczynić tego nie mogę, bądź więc grzeczny i pozostań, a przywiozę ci za to ładny podarunek.

MARKIZA. Bądź zdrów Laurent, a powracaj jak najspieszniej.

KARDYNAŁ. Markizo, czy łzy te nie są zbyteczne? widząc je możnaby wnosić, że brat mój wybiera się co najmniej do Palestyny, bo przecież jadąc do swoich dóbr nie naraża się na żadne niebezpieczeństwo.

MARKIZ. Mój bracie, nie drwij z tych pięknych łez.

KARDYNAŁ. Nie chciałbym żeby uczciwość podlegała pozorom.

MARKIZA. Czyż uczciwość nie ma łez panie kardynale, czyż one mają tylko być wynikiem żalu lub obawy?

MARKIZ. Nie, na Boga! najpiękniejsze są łzy miłości, tych nie ścierajcie mi z twarzy, wiatr w drodze odda mi tę usługę, lepiej niech schną wolno. Cóż najdroższa, czy nie każesz nic powiedzieć swoim ukochanym? Czy niezawiozę jak zazwyczaj tkliwych dowodów pamięci dla tych skał i kaskad mojej ojczyzny?

MARKIZA. Ach, moje piękne kaskady!

MARKIZ. Prawdziwie moja droga, one bez ciebie straciły ten urok, który mnie w taki zachwyt wprowadził.

MARKIZA. Więc weź mnie z sobą.

MARKIZ. Uczynić to byłoby szaleństwem, lepiej nie mówmy już o tem. — Zresztą czy tydzień jest wielkim, moja piękna Ricciconda w tenczas odwiedzi swe ogrody, kiedy się przybiorą w godową szatę wiosny, kiedy ocienione ich aleje rozłożystem liściem drzew zazdroszcząc wdzięków swej pani, zachowują je tylko dla siebie. Ja zaś najdroższa moja pierwszym kwiatem, jaki ujrzę z powrotem, uwieńczę twe skronie.

MARKIZA. O tak każdy kwiatek z naszego pięknego ogrodu jest mi drogim i miłym. Ale zima trwa tak długo, że zdaje mi się, iż one nigdy nie odżyją.

ASCANIO. Jakiego konia kazałeś ojcze przygotowoć do podróży?

MARKIZO. Chodź ze mną na dziedziniec, a zobaczysz (*wychodzi — Markiza sama z kardynałem — chwila milczenia*).

KARDYNAŁ. Zdaje mi się Markizo. że życzyłaś sobie spowiadać się u mnie.

MARKIZA. Uwolnij mnie od tego kardynale, albo odłóżmy lepiej do wieczora lub jutra, zresztą zastósuję się, gdy Wasza Eminencya będzie wolną, obecna chwila sam widzisz, że do mnie nie należy (*staje w oknie i przesyła pożegnanie mężowi*).

KARDYNAŁ. Gdyby słudze Bożemu wolno było żałować czegokolwiek na świecie, to dziś pozazdrościłbym szczerze losu mego brata. Podróż tak zwyczajna, tak spokojna, mająca jedynie na celu zwiedzenie swego majątku, wzbudza w tobie taki żal i smutek. Śmiało może nazwać się szczęśliwym ten, kto po siedmiu latach pożycia tak gorąco jest kochanym. Wszak prawda Markizo, że już siedem lat minęło od waszego pobrania?

MARKIZA. Tak kardynale, syn mój wkrótce sześć lat ukończy.

KARDYNAŁ. Czy byłaś wczoraj na weselu u Nazzi.

MARKIZA. Byłam.

KARDYNAŁ. Podobno książę był przebrany po zakonnemu?

MARKIZA. Jakto po zakonnemu?

KARDYNAŁ. Byś może, że mnie zwiedziono, chociaż stanowczo mnie zapewniano, że go widzieli w tym stroju.

MARKIZA. Owszem nie zwiedziono cię wcale. Malaspino żyjemy w czasach bardzo smutnych, gdzie nawet dla rzeczy świętych nie ma poszanowania.

KARDYNAŁ. Można szanować rzeczy święte, a w chwilowym szale ubierać się w stroje klasztorne. Wszystko to nie jest jeszcze ani profanowaniem, ani ubliżaniem dla naszego kościoła.

MARKIZA. Zapewne czyn sam w sobie nie jest tak szkodliwym, ale co gorsza, że pociąga za sobą naśladowców. Nie wiem wprawdzie, na co pozwalają wasze tajemnicze reguły. Sam Bóg zna tylko cel, do którego dążycie. Takie częstsze wystąpienia i robienie igraszek z tego, co powinno być uważane za rzecz poważną i świętą, może ubliżać duchownemu charakterowi.

KARDYNAŁ. Z tem wszystkiem, przyznaj, że młody książę był zachwycającym w tem ubraniu mniszki.

MARKIZA. Niepodobna być piękniejszym, brakło mu tylko kilka kropel krwi jego brata Hipolita de Medicis.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

Redaktor odpowiedzialny *Anastazy Mostalski*. W drukarni L. Paszkowskiego w Krakowie. Rządca Drukarni *Józef Łakociński*.

Początek o godz. wpół do ósméj.

Nr. porządkowy 193.

TEATR KRAKOWSKI.

We Wtorek dnia 19go Sierpnia 1873 r.

Komedya w 4 aktach przez Th: Barière i L. Thiboust:

NA ŁASCE ZIĘCIA.

OSOBY:

Paweł Fontelais, bankier	Pan Benda.
Marta, jego żona	Panna May.
Honoryusz Beljames, ojciec Marty	Pan Zamojski.
Zofia Beljames, jego żona	Pani Ekerowa.
Blanche, ich córka	Pani Terenkoczy.
René de Norguet, przyj. Pawła	Pan Dłużewski.
Pan Moutonnet, przyjaciel Beljama	Pan Werner.
Onezym, syn jego	Pan Eker.
Julian (służący w domu Pawła)	Pan Nowakowski.
Baptist (służący w domu Pawła)	Pan Glikson.
Zuzanna, panna służąca Marty	Panna Kwiecińska.
Gervais, szwajcar w hotelu Pawła	Pan Siedlecki.
Jan, stangret	Pan Grzybowski.

Rzecz dzieje się w Paryżu.

CENY MIEJSC: Loża parterowa i pierwszego piętra **6** złr. — Loża drugiego piętra **4** złr Fotel w sześciu pierwszych rzędach **1** złr. **50** cent., w następnych rzędach **1** złr. — Krzesło numerowane na Balkonie w pierwszych rzędach **1** złr., w następnych **80** cent., w dalszych **70** i **65** cent. — Bilet na Parter **60** cent. — Bilet na Galeryą **30** cent.

Początek o godzinie wpół do ósmej.